

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J. R.

6

(Ciąg dalszy).

— Zdarza się także nieraz — ciągnął dalej komisarz — że zbrodniarz część swojej zdobyczy ukrywa w pewnym, z góry oznaczonym miejscu, aby w ten sposób skierować podejrzenie na inne, niewinne osoby.

Owinął znowu zegarek i pierścień w papier i schował to wszystko napowrót do woreczka.

— Ten rezultat naszych poszukiwań — rzekł — świadczy najwymowniej, że ów anonim podał do wiadomości policyj rzeczywiście prawdę.

— I cóż będzie dalej? — zapytał hrabia.

— Teraz musimy z całą energią postarać się o rozwiązanie pytania: „Kto jest mordercą?“ — ażeby niewinnie skazanym zwrócić ich honor i cześć. — Sądziś więc rzeczywiście, że rządca Bernere...

— Nie sądzę, ale teraz jestem mocno przekonany, że ten nieszczęśliwy człowiek padł rzeczywiście ofiarą pomyłki sądowej.

— Rzeczywiście?

— Ktoby teraz jeszcze o tem wątpił, ten chyba musi być ślepym, albo też rozmyślnie nie chce uwierzyć prawdzie.

Obydwaj zwrócili się ku drzwiom.

Nagle hrabia chwycił się oboma rękami za głowę.

— Kto — jednak kto jest mordercą mojego stryja?! — jęknął.

— To się tak nie da — odrzekł poważnie komisarz — zaraz po wstępnym śledztwie szukać odpowiedzi na to pytanie.

— A czy sądziś, że zbrodniarz rzeczywiście zostanie odkryty?

— W to nie wątpię.

— Może masz już na oku osoby, które ci się wydają podejrzanymi?

Komisarz potrząsł głową przecząco.

— Nie mówmy teraz o tem! Ja ci zaręczam, że najbliższa przyszłość odchyli zasłonę, za którą zbrodniarz dziś jeszcze się ukrywa.

Pochwycił hrabiego za rękę i ciągnął dalej:

— Musisz mi dać słowo, że o tem, co tutaj znalazłem, zachowasz jak najgłębsze milczenie, bo inaczej musiałbym żałować, że cię wtajemniczyłem w tę sprawę.

— Daję słowo, że będę milczał.

— Słowo honoru?

— Tak, słowo honoru.

Podali sobie ręce.

— Teraz chodź, mój przyjacielu!

Odsunęli rygiel i opuścili izbę z wesołym uśmiechem i głośną rozmową, jakgdyby się tam wewnątrz byli wspaniale bawili.

Za chwilę pędzili już na koniach ku zamkowi.

Na twarzach ich rozsiadła się powaga przykrych wydarzeń, jakich byli świadkami.

VIII.

Podejrzenie zwraca się w właściwym kierunku.

Stary hrabia Mironeau był od dłuższego czasu w złym humorze.

Ten brzemienny swoją treścią list, jaki przez tyle lat leżał w skrytce jego biurka, otworzył mu nagle oczy i odsłonił przed nim coś, w czym mógłby doskonale poznać tajemnicze losy, gdyby w swej zapamiętałości nie stał się prawie głuchym na wszystkie zrzędzenia Opatrzności.

Teraz wiedział, że jego jedyny syn się ożenił, a ożenił się z córką ludzi, których on dla swej żądzy złota poświęcił.

Wobec takiego stanu rzeczy nie miał się co dziwić, że hrabia Jan stanowczo odrzucił jego projekt, aby się zenił z Wilmą. A ten jego opór można było, jak sądził, jedynie w ten sposób przełamać, że się młodą jego żonę sprzątnie ze świata.

— Muszę ją znaleźć, choćby mnie to nie wiedzieć ile miało kosztować.

Takie powzięte postanowienie, nie przeczuwając nawet, jak blisko niego była ta, o której on sądził, że jest daleko.

Było to wieczór tego samego dnia, kiedy hrabia Jan wraz komisarzem zwiedzali stary folwark.

Stary hrabia siedział w swojej kancelaryi, gdy mu zameldowano leśniczego Tareau, który się stał na specjalne żądanie hrabiego.

— Przypomina pan sobie — rzekł doń hrabia, patrząc nań posępnym wzrokiem — co panu swego czasu rozkazałem odnośnie do tej młodej kobiety, która u pana leżała chora?

— Tak jest, jasnie panie!

— No więc, cóż powiedziałem?

— Że mam uważać, aby z leśniczówki nie znikła.

— Tak jest! A pan wypełniłeś rozkaz?

Leśniczy wzruszył ramionami.

— Wiedziałeś pan, że zależy mi na tem, ażeby nie uciekła, ale pan i pańska żona zapomnieliście o obowiazku i pozwoliliście jej zbiedz. Usprawiedliwaj się pan, jeśli pan potrafisz!

— Kobieta ta oszukała nas, jasnie panie, bo będąc już zupełnie zdrową, udawała tak słabą i schorowaną, że trudno było uwierzyć, iż może się przejść z miejsca na miejsce.

— I dlatego nie zwracaliście na nią najmniejszej uwagi?

— Tak ja, jak i moja żona, mamy zajęcie, ja służbę, ona gospodarstwo, niepodobna więc było, ażebyśmy dniem i nocą siedzieli i stróżowali chorą — uniewinniał się leśniczy.

— Ach, co tam! — zawołał hrabia opryskliwie. — Ja panu daję służbę, ja panu płacę, moje rozkazy zatem są najpilniejsze!

Szybkim krokiem przechadzał się po komnacie. Wreszcie stanął przed leśniczym.

— Wiesz pan przynajmniej, dokąd się udała, albo gdzie się teraz obraca?

— O tem nie mam pojęcia, jasnie panie.

— Kiedyż uciekła, we dnie, czy w nocy?

— Prawdopodobnie koło północy, kiedy w domu wszyscy spali.

— Mogła uciec sama?

— Nie; pomógł jej młody pan hrabia.

— Skąd pan wiesz o tem?

— Sam mi to później powiedział.

Hrabia znowu począł chodzić po pokoju. Wreszcie stanął przed leśniczym i rzekł:

— Teraz ja panu coś powiem. Że ta kobieta uciekła, to pańska wina, pan więc musisz się o to postarać, aby ją odnaleźć.

— Ależ, jasnie panie...

— Milczeć i nic nie mówić! — syknął hrabia. — Daję panu trzy dni czasu; jeżeli w przeciągu tych trzech dni nie znajdziesz pan tej zbiegłej sroki, to stracisz pan miejsce i musisz się wynieść z leśniczówki w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

— Panie hrabio! — zawołał leśniczy przerażony, ale w tej chwili przerwał mu nielitościwy starzec.

— Za drzwi, marsz! — zawołał rozkazująco, wskazując mu drzwi. — Jest alternatywa: albo pan w przeciągu trzech dni dostawisz mi tutaj tę kobietę, albo pan dostaniesz dymisy.

Dziki wyraz wściekłości, przemocą hamowanej, odbił się na twarzy staro leśniczego; nie ozwał się jednak, jeno zacisnął zęby, mrużąc:

— Czekaj, stary łotrze, twoja godzina także nareszcie wybiję, może prędzej, jak sam myślisz.

Kiedy przechodził przez kurytarz, zastąpił mu drogę lokaj w liberyi, który się wysunął z po za stojącego obok filarn.

Był to jego syn, Jan.

— No, jakże się ojciec z nim rozszedł?

— Pieknie źle — mruknął stary.

— Dlaczego?

W kilku słowach opowiedział mu leśniczy, co zaszło.

— Ponieważ zaś niemożliwą jest rzeczą, kobietę tę odnaleźć — kończył — więc jutro już mogę zacząć się pakować.

Oczy Jana błyszczały złośliwie, jak oczy kota.

— Porzuć te myśli, mój ojciec i uspokój się.

— Trudno być spokojnym, jeżeli się jest zmuszonym na starość pozostać bez chleba i iść na nędzę i głód.

— A ja powtarzam: bądź dobrej myśli! — szeptał Jan. — Przygotowują tu rzeczy, które spowodują na zamku kolosalne zmiany.

Głos jego brzmiał jak syczenie żmiji, kiedy dodał:

— Dni tyrana są już policzone!

Obrócił się i rozglądał naokoło.

Komisarz Brepont zaraz po kolacji udał się do swego pokoju. Ból głowy, jakim się usprawiedliwiał, był tylko wymówką, bo nigdy może nie czuł się zdrowszym, jak teraz, kiedy, zamknawszy się w pokoju, zabierał się do roboty. Popołudniu już wysłał swemu szefowi krótkie sprawozdanie z rezultatu swego śledztwa. Teraz zaczął na wielkim arkuszu opisywać szczegółowo przebieg swych poszukiwań.

Wtem przestał pisać i wyjął z szufladki biurka znany nam już woreczek. Rozwinął papier, w jaki woreczek był owinięty i położył zdobycz na stole.

Wzrok jego zatrzymał się mimowoli na papierze. Był to kawałek jakiegoś pisma paryskiego z przestarzałymi wiadomościami, które już nikogo dzisiaj nie mogły interesować. A jednak na twarzy urzędu ika znać było jakieś febryczne drżenie, kiedy, czyma przebiegał ten zadrukowany świstek. Nagle krzyknął ze zdumienia, utkwivszy oczy na kilku literach, napisanych wybladłym już atramentem na brzegu papieru. Litera te tworzyły słowa:

„Do pomocnika rządcy Pommon’a“.

Uwagę tę zrobił zapewne urzędnik pocztowy, oznaczając w ten sposób adres abonenta.

— Pomocnik rządcy, Pommon, kto to może być? — szeptał Brepont.

Ukrył twarz w dłoniach i zatopił się w myślach.

— Mam, mam! — zawołał nagle, powstając. — W aktach procesu o zamordowanie hrabiego, które mi dano do przegladnięcia, nazwisko Pommon nie raz się powtarzało. Pommon — też to był główny świadek, który zeznaniami swemi spowodował skazanie obojga podejrzaných!

— Znowu wpół oczy w litera.

— Zrobiłem cenne, bardzo ważne odkrycie; te cztery słowa będą punktem wyjścia owych nici, które nas zaprowadzą do prawdy.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi.

Komisarz schował prędko wszystko do szuflady, wstał i podszedł ku drzwiom.

— Kto tam?

— Ja — Jan.

Brepont otworzył drzwi, a do pokoju wszedł młody hrabia.

— Cóż cię do mnie tak późno sprowadza? mój kochany Mironeau?

Hrabia nic nie odpowiedział. Westchnął tylko i usiadł w fotelu.

— Przyjacielu, jakże ty wyglądasz? — zawołał prawie przestraszony. — Jesteś chory i musisz się natychmiast położyć. Macie tu gdzie jakiego lekarza?

Hrabia zaprzeczył ruchem ręki.

— Tak, tak, ja jestem chory; ale na moje cierpienie niema lekarstwa.

I znowu westchnął ciężko.

— Powiedz mi wreszcie, co ci brakuje?

Hrabia zerwał się, podszedł do okna i przycisnął czoło do zimnych szyb. Komisarz patrzył nań, potrząsając głową.

W jego rozpalonej głowie, którą teraz chciał gwałtem ochłodzić, prawdopodobnie zaświtał już promień prawdy.

Jan wydał jakiś stłumiony krzyk i powrócił na swoje miejsce. Brepont począł się na seryo bać o niego. Przysunął swój stółek do jego i chwycił go za rękę.

— Jesteśmy przyjaciółmi, Janie, i na tę naszą przyjaźń, na to święte a czyste uczucie, jakie nas od lat tylu łączy, zaklinam cię, bądź wobec mnie szczery, zaufaj mi. Duszę twoją przysięgną troska, to widoczne, powiedz mi więc, co ci brakuje, wyjaw przyczynę twego smutku.

Hrabia ukrył znowu twarz w dłoniach. Zdawało się, że młode jego ciało dźgało całe od wewnętrznej walki. Dopiero po długiej chwili uspokoił się, ale był zmieniony do niepoznania. Muszkuły jego twarzy jakby zamarły, oczy zapadły się w głąb — postarzał się o dziesięć lat.

— Adolfe — rzekł — to przecie straszna rzecz, jeśli człowiek chce umrzeć, a jednak musi żyć, musi, ażeby...

— Chciałeś mówić, ażeby się dowiedzieć, jak podejrzenie o zbrodnię morderstwa zwraca się we właściwym kierunku i skupia na jednej osobie, którejby się nigdy nie uważało za zdolną do takiej zbrodni.

Tym zwrotem chciał Brepont ułatwić nieprzyjacielowi wyznanie, które musiało spaść z jego serca, jeśli to serce nie miało zginać pod jego ciężarem.

— Czy nie zgadłem? — zapytał Brepont po krótkiej chwili.

— Co takiego?

— Że przeczuwasz prawdę.

— Jaką prawdę?

— Tę, która ci rzuca światło na tajemnicę zbrodni.

Jan uśmiechnął się dziwnie.

— Po co tak objężdżać?! — wykrzyknął nagle. — Powiedz bez ogródek to, czego nie może wypowiedzieć mój język. Powiedz! Mów!

— Co?